

## **Bartosz Jastrzębski: Kłopoty z demokracją. Uwagi o "najlepszym z systemów" w pismach Mariana Zdziechowskiego**

Demokratyczna wolność szybko karleje do wolności zaledwie konsumenckiej, do swobody wybierania towaru pośród przytłaczającej i niepotrzebnej nadprodukcji wszystkiego – od słów począwszy na rodzajach pieczywa skończywszy.



Autor niniejszego artykułu, ze swej strony, zdecydowanie wzdycha za świętym Bożym spokojem pustelników – przypuszczalnie bezcelowym, bez wątpienia wzniosłym - równie stanowczo też poszukuje go w (niektórych) książkach, nie spodziewa się natomiast w tzw. „realu” – nie jest bowiem ów spokój z tego świata i dlatego też zapewne nigdy na dłużej w nim nie zagości. Trudno przy tym nie zgodzić się z

krytycznymi uwagami Zdziechowskiego pod adresem demokracji: liczne i groźne są jej choroby, a może nawet ona sama jest chorobą wieku starczego, która musi porazić każdą, dobiegającą swego kresu cywilizację (bo nie kulturę przecież) nim ta ostatecznie wyzionie ducha.

Czesław Miłosz w swych *Legendach nowoczesności* powiada: „W Zdziechowskim splatają się dwa zjawiska: pesymizm religijny i historiozoficzny katastrofizm”[1]. Z uwagą autora *Zniewolonego umysłu* należy się w moim przekonaniu w pełni zgodzić: ta właśnie specyficzna, a zarazem pełna mocy, duchowa mieszanka określa bowiem intelektualny charakter i nastrój filozofii tego zapomnianego trochę polskiego myśliciela, który już w międzywojniu wydawał się młodzieży „szacownym zabytkiem minionej epoki”. Pogląd katastroficzny w odniesieniu do dotychczasowego – a też przewidywanego przyszłego – biegu dziejów, konsekwentnie wynikać zresztą musi z pesymizmu religijnego: jeśli religijność danego filozofa koncentruje się wokół przemożnego odczucia, iż „świat w złu leży”- bo całkiem się Stwórcy nie udał bądź wskutek jakiejś katastrofy upadł, oddzielił się w każdym razie od Dobra, Boga i Wieczności - to trudno oczekiwać odeń progresywistycznej wizji historii, czyli przekonania, że zmierza ona do jakichś „wyższych”, w jakikolwiek sposób „lepszyc”, bardziej szlachetnych lub rozwiniętych stanów rzeczy niż choćby stan obecny, a tym bardziej treściwe i solidne stany dawne - a zwłaszcza te najdawniejsze. Niewiara w postęp każe zatem sceptycznie spoglądać na nowe urządzenia w życiu kulturalnym i społeczno-politycznym, po platońsku widzieć w nich raczej jawne i wyraźne świadectwa degradacji bytu – jeśli nie kosmicznego, to społecznego przynajmniej. Nawiasem

mówiąc, jest to postrzeżenie zgodne z uniwersalnym, jak sadzę, i nader sugestywnym odczuciem każdej kolejnej, wchodzącej w dojrzałość generacji: że oto z pokolenia na pokolenie świat ma się coraz gorzej, że coś się w nim nieuchronnie psuje i wynaturza, że „stacza się” on w ponure mroki „wieku żelaznego”, a wszelkie w tej materii próby przeciwdziałania są rozpaczliwie nieskuteczne. Nie powinno tedy dziwić, że adresatem wielu krytycznych uwag Mariana Zdziechowskiego była również instytucja demokracji i to nie tylko w swych upadających, konkretnych, historycznych przejawach, ale w samej swej pozaczasowej istocie. Owa krytyka jest przede wszystkim krytyką formułowaną na płaszczyźnie moralnej – Zdziechowski niewiele miejsca poświęca czysto politycznej, funkcjonalnej niewydolności tego ustroju, wyjąwszy sytuacje, w których owa niemoc ma również moralne konsekwencje. Przekonanie Zdziechowskiego o szkodliwości demokracji dla rozwoju i zachowania kultury europejskiej nie jest też w tym kontekście lamentem pięknoducha i wybujałego estety, ale wyrazem troski myśliciela obdarzonego głębokim zmysłem moralnym i przeczuciem nadchodzących katastrof.

Krytyka demokracji ma w kulturze europejskiej długą tradycję. Pierwszy bodaj moralny i teoretyczny sprzeciw wobec niej wiązał się oczywiście ze sławetnym procesem Sokratesa i późniejszą, teoretyczno-polityczną reakcją nań Platona. Giovanni Reale trafnie ujmuje i streszcza Platoński pogląd na ułomny charakter tego ustroju: „Demokracja, jaką opisuje Platon, jest stadium, które stopniem zwyrodnienia poprzedza i przygotowuje tyranie. [...]. Nienasycona żądza bogactwa i pieniędzy prowadzi stopniowo w oligarchii do tego, że ludzie przestają dbać o cokolwiek innego poza bogactwem. Młodzi, wzrastający bez wychowania moralnego, zaczynają wydawać pieniądze bez umiaru (dla nich ojcowskie poczucie oszczędzania nie ma wartości, ponieważ zastają już nagromadzone bogactwa) i oddają się ślepo

wszelkiego rodzaju przyjemnościom (nie mają już bowiem poczucia umiaru, które może pochodzić tylko od wyższych wartości). W ten sposób bogaci posiadacze władzy słabną nie tylko moralnie, ale i fizycznie, do momentu, w którym biedni podwładni zdadzą sobie z tego sprawę i przy pierwszej nadarzającej się okazji uzyskują nad nimi przewagę i wprowadzają rządy ludu, ogłaszając równość obywateli (przyznając równość i równym, i nierównym – mówi Platon) i rozdzielając urzędy za pomocą systemu losowania. Państwo wypełnia się ‘wolnością’: jest to jednak wolność, która nie będąc sprzężona z wartościami, przeradza się w samowolę. Każdy żyje jak mu się podoba, i jeśli chce, może także nie uczestniczyć w życiu publicznym. Sprawiedliwość staje się bardzo tolerancyjna i łagodna; wydawane wyroki często nie zostają wykonane. Kto chce zrobić karierę polityczną nie musi mieć odpowiedniej natury, wychowania i kompetencji, bo wystarczy żeby głosił, ‘że jest przyjacielem ludu’. [...] arogancja zostaje nazwana dobrym wychowaniem, anarchię nazywa się wolnością, roztrwonienie publicznych funduszy nazywa się hojnością, a bezczelność męstwem”[2].

Sam Platon zaś ujmuje ową fatalną naturę demokracji następującymi słowami: „Ta sama choroba, która tkwiła w oligarchii i gubiła ją, ta sama trawi i ten ustrój, tylko tutaj sięga szerzej i głębiej, dzięki temu, że tu wszystkim wszystko wolno, i nakłada powoli na demokrację kajdany. Istotnie, wszelki nadmiar lubi przekształcać się w swoje przeciwieństwo, jeżeli chodzi o pory roku i pogodę, o rośliny, o ciała, a nie mniej, jeśli idzie o ustroje państwowe.[...] A w demokracji to właśnie wysuwa się na czoło, z małymi wyjątkami, i to przemawia i działa – osobniki co najostrejsze – i to obsiada mównice naokoło, i robi hałas i szum, i nie daje do słowa dojść nikomu, kto by mówił inaczej”[3].

W kontekście wspomnianych powyżej klasycznych już zarzutów wobec demokracji, widzimy zatem, iż sprzyja ona – zdaniem jej krytyków – upadkowi obyczajów, i wszelkiej moralności, a przez to toruje drogę oszustom, politycznym awanturnikom i tyranom. Nie tylko więc nie posiada w sobie jakichkolwiek mechanizmów, które gwarantowałyby, że do władzy nie dojdą ludzie niezdolni do jej sprawowania, nieodpowiedzialni, niekompetentni czy wręcz podli i wyrachowani, ale takich właśnie ludzi promuje – o ile tylko posiadają zdolność (i techniczne możliwości) panowania nad nieskomplikowanymi emocjami tłumu i emocji tych wykorzystywania do własnych, na ogół egoistycznych i niskich, celów. Albowiem moralnie upośledzony i intelektualnie nie dość rozwinięty tłum, takich właśnie, podobnych sobie, łotrów i demagogów jest skłonny popierać – sam bowiem myśli brzuchem i nie jest w stanie wyjść poza własne, małe interesy i ambicje. I dalej: nieograniczona wolność sprzyja myślowym i etycznym eksperymentom oraz ekstrawagancjom, a te psują i rozrywają tkankę społeczną. W istocie są bowiem, w lwiej części przypadków, przerostem wydumanej formy nad całkiem chudą i niepożywną treścią, a nadto swoistym „dmuchaniem w balon” rzekomej tylko, na siłę kreowanej oryginalności. Tymczasem siły odśrodkowe człowieczego egotyzmu – przez demokrację wzmacniane, bo pozytywnie wartościowane – powodują, że ludzie się od siebie oddalają: najpierw stają się samotni, a potem zaczynają ze sobą walczyć, żeby samotność tę zagłuszyć zrazu w rywalizacji, w końcu w bitewnym zgiełku. Upadek wartości oraz autorytetów rodzi prywatę i kumoterstwo, wartość *publico bono* zostaje podważona i zrelatywizowana – bo w imię czego w końcu mielibyśmy stawiać dobro publiczne ponad swoje własne? Zwłaszcza że w demokracji „rządzą wszyscy” (elektorat), a zatem nikt nie ponosi wyłącznej, bezpośredniej i osobistej odpowiedzialności za stan państwa: politycy zawsze twierdzą, że winien jest elektorat, elektorat –

że politycy. Ponad dobro publiczne stawia demokracja rozdętą do niemożliwości arogancję i pychę politycznych czy artystycznych miernot, błędnie pojmowane jako indywidualizm i prawo do podmiotowości, w praktyce zaś będące zazwyczaj niczym więcej niż prawem do robienia głupstw i głoszenia niemożliwych bzdur. To wszystko sprzyja anarchii i samowoli. Zmęczeni zaś w końcu tymi ostatnimi ludzie wybierają finalnie - czy w inny sposób pozwalają im dojść do władzy – autokratów i samodzierżawców (komunistycznego, nacjonalistycznego czy też religijnego autoramentu), demokratycznie znosząc tym posunięciem samą demokrację. Wahadło przemieszcza się na przeciwległy biegun i rozpasana wolność staje się unicestwiającą wszelką w ogóle swobodę tyranią...

Tak oto w demokracji, jakkolwiek obco to dla dzisiejszego ucha brzmi, jest coś zasadniczo amoralnego, z trudnością tylko akceptowalnego dla podmiotów obdarzonych elementarną wrażliwością etyczną. Demokracja wydaje się po prostu rażąco niesprawiedliwa, jednakowo traktując tych, którzy w żadnej mierze i pod żadnym względem równi nie są. Ludzie prawi, wykształceni, utalentowani, obdarzeni poczuciem honoru i odpowiedzialności, tyle samo znaczą i tyle samo w niej mogą (w teorii tylko, a w praktyce przecież znacznie mniej) co ciemny lud, kryminaliści, bezideowi awanturnicy i cyniczni spryciarze. Opiera się ona bowiem – i to wada jej antropologicznych i filozoficznych podstaw - na błędnej przesłance o równości ludzi. Równość polityczna (będąca – jako teoretyczna równość dostępu do wszelkich dóbr - formą zastępczego zaspokojenia ekonomicznych roszczeń mas) zostaje ekstrapolowana na fundamentalny poziom ontologiczny: ludzie - zakłada się tedy - są równi sobie jako tacy, z natury, a więc we wszystkim czym są i co mogą. Przeczy to co prawda naszemu elementarnemu doświadczeniu, podług którego jednostki są nie tylko różne, ale też różnowartościowe: istoty ludzkie nie są ani równie

piękne, ani równie mądre ani równie uzdolnione czy pracowite, ani, tym bardziej, w jednakim stopniu moralnie dobre. Ludzka głupota i zło stanowią codzienną treść naszego doświadczenia – a mimo to, owym złym i głupim, przypisujemy pełnię praw. Dlaczego? Być może dlatego, iż „zaczadzeni” jesteśmy jakby ideologicznym postulatem równości, traktujemy ją jako wartość samoistną i niedyskutowalną, nie wymagającą żadnych dodatkowych uzasadnień czy jakiegokolwiek krytycznej analizy. Staje się ona dogmatem, którego nie wolno nawet tknąć, bez narażenia się na zarzut faszyzmu, rasizmu i tym podobnych, całkiem wykluczających z jakiegokolwiek dyskusji epitetów. Nie widzimy – bo nie chcemy widzieć, nie mając na ustrój lepszego pomysłu – że demokracja jest nie tylko politycznie nieefektywna oraz moralnie ułomna, ale też kulturowo szkodliwa. Za postulatem równości skrywa się bowiem mechanizm „równania w dół”, godzącej w jednostki najwartościowsze standaryzacji i uniformizacji. Jako że typy intelektualnie przeciętne, jeśli nie wręcz słabe, stanowią zdecydowaną większość w społeczeństwie, to „pod nie” właśnie ustawione zostają oświata, kultura, o świecie mediów nawet już nie wspominając. Już w połowie ubiegłego stulecia zwracał uwagę na ten ponury mechanizm znakomity węgierski pisarz i myśliciel Sandor Marai: „Znajdujemy się nie na progu, lecz w samym środku sytuacji, której nie sposób nazwać inaczej jak tylko 'jedną z najdoskonalej ogłupiających epok' w historii ludzkości. Wraz z rozwojem 'nauk użytecznych' postępuje w głąb i wszere ogłupienie świata ludzkich mas. 'Jakość' – jakość duchowa, artystyczna tak samo jak jakość człowiecza, uczuciowa – w świecie ciemnych, barbarzyńskich tłumów już nawet nie jest ofiarą negatywnej selekcji: po prostu marnieje i zanika”[4]. W taki sposób mizéria staje się normą, a kultura „wypłyca się”, kosztuje i obumiera, jako że kulturowy rozwój stymulują przecież wyłącznie jednostki ponadprzeciętne, wybitne, niezależnie myślące, a te – nie schlebując ni opiniom, ni gustom mas – nie mają lekkiego życia w demokracji. Prawdę mówiąc, na ogół zamieszkują jej głębokie peryferia, nie mogąc przekrzyczeć (ani

nie mogąc słuchać) wzniecanego przez nią zgiełku. Zakładana w obrębie demokratycznego projektu powszechność dostępu do kultury – wbrew optymistycznym nadziejom – wcale nie spowodowała zatem jej dynamicznego rozwoju i wzrostu wewnętrznego zróżnicowania, przeciwnie: raczej powolne, lecz nieuchronne ujednolicenie i stopniową barbaryzację.

Autor *Pesymizmu, romantyzmu a podstaw chrześcijaństwa* ma pełną i jasną świadomość powyższych ułomności i wielokroć w swych pismach nad nimi ubolewa. Do tradycyjnych Platońskich argumentów przeciw demokracji dorzuca nowe, istotnie powiązane ze współczesnym mu stanem Europy, a ściśle biorąc z trapiącymi ją w jego czasach kryzysami politycznymi, społecznymi i kulturalnymi. Rzadko wszakże wprost przedstawia swoje poglądy. Bardziej stosowny i elegancki zdaje mu się wykład swych myśli przy okazji cytacji i komentarzy innych, poważanych przezeń myślicieli, taki choćby jak Oswald Spengler czy Henri Amiel. Są one jednak na tyle liczne, że możemy poważać się, jeśli nie na rekonstrukcję poglądów Zdziechowskiego w interesującej nas kwestii, to przynajmniej na przedłożenie obszerniej jego uwag i wątpliwości związanych z władztwem demokracji.

Otóż zacznijmy może od tego, że zdaniem autora *Renesansu a rewolucji* demokracja posadowiona jest na z gruntu fałszywym założeniu. Powiada mianowicie Zdziechowski (komentując fragmenty Amielowego *Dziennika intymnego*): „... ludzkość musi odpokutować każdą fikcję, którą przyjmuje jako prawdę, demokracja zaś polega na fikcji, iż ‘głosowanie powszechne a mądrość to to samo’ i że przeto ‘większość posiada nie tylko siłę, lecz i rozum’. Drogą tą dojdzie ona [za Amielem z 1851] *przez demagogię do absurdu, dając najgłupszemu*

*prawo wyrokowania o rzeczach najważniejszych. [...] Ci najgłupszy wpadać będą z jednych głupstw w drugie, będzie to robiło wrażenie, że coś się zmienia – i każdą zmianę utożsamiać będą z postępem...”[5].*

Polski myśliciel przywołuje tu klasyczny argument: strukturalną wadą demokracji jest to, że daje „najgłupszemu prawo wyrokowania o rzeczach najważniejszych”. Efekty rządów głupców muszą być jak najgorsze: zwiedzeni myślowymi i technologicznymi świecidełkami stają się oni orędownikami tzw. postępu, a właściwie jego ideologii, która głosi, że stany minione, dawne – jako takie właśnie – są zawsze gorsze od tych obecnych. To, co przeszłe nie wytrzymało wszak próby czasu, przeminęło, nie istnieje już, a tym samym jest mniej warte od tego, co jest lub będzie „za chwilę”. Nieważne, że nie wiemy ku czemu postęp *in toto* miałyby prowadzić, bo przecież wszelkie próby pomyślenia jego logicznego zwieńczenia są albo wewnętrznie sprzeczne - a zatem niemożliwe do zrealizowania – albo też prowadzą nas wprost na tereny makabrycznych antyutopii. Masy chcą jednak błyskotek, nowości, świecących paciorków i kolorowych koralików, żeby się zabawić, żeby było ciekawie, nowatorsko i oryginalnie. Tłum nie posiada bowiem rozumu - choć w istocie posiada niekiedy siłę – tłum, jak wskazują psychologowie, odbiera rozum nawet tym, którzy z osobna biorąc nie są go pozbawieni. Na ogół jednak składają się nań jednostki niewybitne, poszukujące raczej przewodnictwa niż mogące go mu komukolwiek udzielać, niezdolne do subtelnych rozumowań i rozwiązywania zawiłych kwestii. Niemniej jednak to właśnie ten tłum – w ramach procedur demokratycznych – wybierać będzie władzę i w ten sposób sam stanie się władzą. On będzie decydował, gdzie i jak „postępować”, czyli jaki nadać kierunek społecznym, gospodarczym i technologicznym zmianom.

Kolejne krytyczne uwagi pod adresem demokracji formułuje Zdziechowski przy okazji omawiania twórczości szwajcarskiego myśliciela Karola Secretana. „Uznawał on – komentuje jego myśl Zdziechowski - słusność zasady demokratycznej, lecz widział jej wszystkie groźne następstwa. Demokracja bowiem z natury swojej przeciwną jest wszelkiej wyższości; na miejsce najlepszych stawia tych, co jej schlebiają, i w ten sposób przeistacza się w organ namiętności tłumu.

*I w tę demokratyczną nizinę staczają się mniej lub więcej wszystkie narody siłą własnej ciężkości i jeśli nie pojawią się jakieś niespodziane a świeże potęgi, cywilizacja zgaśnie w końcu w błocie powszechnego ogłupienia.* Wyrazem takich potęg zbawczych mogłyby być, zdaniem Secretana, tylko jednostki wyższe; tylko ludzie z umysłem zdrowym i sercem prawym, ludzie przejęci świadomością powinności zdołaliby przeciwdziałać ogólnemu rozstrojowi i powstrzymać staczający się świat”[6].

Demokracja jest tedy przeciwna wszelkiej „wyższości”, a więc hierarchii, jaka wytworzyć by się mogła i wytworzyć się powinna w „zdrowym” społeczeństwie. Demokracja wmawia swym nawet najpośledniejszym uczestnikom, że ich sąd jest równoważny i równomocny z każdym innym, bez względu na to ile – jeśli w ogóle jakkolwiek - wysiłku włożyli, by ów sąd sformułować. Słowem, wprawdzie nie każdy „z marszu” może grać na skrzypcach bądź rozwiązywać skomplikowane zadania matematyczne – ale każdy jest władny, od razu i z powodzeniem, sądzić o sprawach polityki. Owo wertykalne „spłaszczenie” może być nawet – zdaniem Zdziechowskiego - jakąś postacią wprowadzonej przez przyrodników zasady entropii. Nasz autor z uznaniem wszak cytuje w tym kontekście retoryczne pytanie Amiela: „Czy niwelacja powszechna nie jest prawem natury i czy dojście jej do skutku nie będzie końcem wszystkiego?”[7].

Owo panowanie „powszechnej niwelacji”, „demokratycznej niziny” może być zdaniem Zdziechowskiego zasadnie odniesione do Spenglerowskiej, „organicznej” koncepcji funkcjonowania społeczeństw i ich przemian. Do teorii tej odnosi się polski filozof wielokrotnie, nie kryjąc swej nią fascynacji i przekonania, iż autor *Zmierzchu Zachodu* jest najwybitniejszym żyjącym myślicielem, absolutnie trafnie diagnozującym stan kultury europejskiej, a także stanu tego przyczyny. Zdaniem Spenglera, kultura europejska zastyga i obumiera, przekształcając się nieuchronnie w cywilizację. Transformację tę Zdziechowski komentuje w następujących słowach: „Jaka różnica – pytamy – między jednym a drugim, kulturą a cywilizacją? Kulturę, odpowiada Spengler, tworzą indywidualności wyższe. Ona jest wynikiem walki o urzeczywistnienie, o tryumf tej idei, tego sposobu ujmowania świata i życia, który cechuje daną grupę ludzką, naród czy narody. Gdy się wyczerpały wszystkie możliwości zawarte w twórczości religijnej, artystycznej, literackiej, politycznej i społecznej owej grupy, wtedy kultura kostnieje i staje się cywilizacją. W Grecji stało się to za Filipa i Aleksandra Macedońskiego, u nas – w epoce rewolucji francuskiej i Napoleona. [...]. W obu epokach – ten sam negatywny stosunek do tradycji, te same marzenia o prawie natury, o wolności i równości, aż do żądania wspólnoty we władaniu ziemią i innymi dobrami, te same utopie polityczne...”[8].

Kulturę tworzą zatem „indywidualności wyższe”, a demokracja – jak już wspominaliśmy - „z natury swojej przeciwną jest wszelkiej wyższości”. Jest więc tym samym z istoty swej przeciwna również kulturze: odbierając jej możliwości rozwoju wyznacza jej kres, który urzeczywistnia się poprzez tzw. popularyzację. Gdy wyczerpują się i przegrywają w starciu z czasem kształtujące kulturę – nadające jej wewnętrzną spójność i treść - idee, nadchodzi chwila rozkładu jej

„ciała” „po równo” pomiędzy jej członków: popularyzacji właśnie, czyli dekapitacji. Masowe ruchy społeczne, podobnie jak i masowa „kultura” są naturalnym podłożem dla demokracji, ale także – w logicznej konsekwencji - ideologii totalitarnych. I ta pierwsza, i te drugie opierają się wszak na podmiocie zbiorowym – z natury więc niekulturalnym - na „kolektywie” partii, narodu, rasy, elektoratu w końcu. Demokracja wyznacza bowiem kres kultur arystokratycznych, a tym samym stanowi punkt wyjścia dalszej ich degradacji w kierunku totalitaryzmów. Nie jest więc przypadkiem fakt, iż rewolucja francuska – jako pierwsza postulująca absolutną, obywatelską równość - jako pierwsza również rozpętała masowego, politycznego terroru. W każdej formie powszechności kryje się załączek rozkładu tego właśnie co ma zostać rozpowszechnione.

Demokracja, jako swój logiczny i konieczny tym samym warunek, zakłada – przynajmniej w pewnym stopniu – relatywizm poznawczy i moralny. W demokracji każdy winien być gotów „sprzedać” swoje prawdy, odstąpić od swoich najgłębszych nawet przekonań w zamian za konkretne korzyści polityczne lub ekonomiczne społeczeństwa oraz państwa. Na tym polega wszak „robienie polityki” w demokracji – nie jest ona w niej już dziedziną aktywności Ducha, ani przestrzenią inkarnacji Idei, lecz terenem Handlu. Jako system polityczny opierający się na nieustannych negocjacjach, na dyskusji i kompromisie, na targowaniu się, na dopuszczeniu oraz akceptacji światopoglądowego pluralizmu, wymaga on od swoich uczestników zdolności zrelatywizowania swoich prawd w imię ładu i konsensu społecznego oraz nieustannej dyscypliny politycznej poprawności. Źle natomiast znosi taki relatywizm religia, bo na krótko tylko i warunkowo dopuszczają kompromisy zawarte w niej prawdy absolutne (za takie się przynajmniej uważające). Religia odwołuje się bowiem do wiedzy transcendentnej i objawionej, nie tolerującej w swym epifanicznym

charakterze radykalnej inności czy dyskusji o moralnych, metafizycznych czy tym bardziej stricte religijnych principiach. Kultura natomiast źle z kolei znosi, zdaniem Zdziechowskiego, nieobecność religii, bo to religia właśnie stanowi jej istotne źródło, jej natchnienie, warunkuje jej siły żywotne, uprawomocnia jej treści i gwarantuje odniesienie jej instytucji do wieczności. Powiada on przeto: „Podstawę wszelkiej kultury stanowi religia, z cywilizacją zaś, jako logicznym zakończeniem kultury, uroczyście wkracza bezreligijność. Cywilizację cechuje przede wszystkim oderwanie od matki-ziemi, przewaga wielkich miast, wielkomiejskiego trybu życia i myślenia. W mieście skupia się życie rozległych krajów i – zamiast zrośniętego z ziemią ludu, pojawia się i zapanowuje nowy typ – nomady, pasożytnika. Jest to *der Grossstadtmensch*, bezreligijny, duchowo bezpłodny, ale inteligentny. Cywilizacja to zwycięstwo zimnego, praktycznego rozsądku nad czcią dla tradycji, to zatarcie szerokich widnokręgów we wszystkich rodzajach twórczości, to zagaśnięcie wielkiej sztuki, wielkich systemów myślowych, wielkich stylów, to sceptycyzm w filozofii i gadulstwo w polityce – w postaci retoryki za czasów starożytnych, **dziś zaś – dziennikarstwa, które stoi na usługach wielkiego kapitału i, niby to ucząc myśleć, nakręca myśl i wolę narodu do poziomu materialnych celów i ideałów, szumnie głoszonych na szpaltach organów rozmaitych czy to wyłącznie finansowych, czy polityczno-finansowych przedsiębiorstw**” [podkreślenie moje][9].

„Bezreligijny, duchowo bezpłodny, ale inteligentny” - słowem tzw. demokrata właśnie, najlepiej miejski, kosmopolityczny[10], lewicowy, kierujący się duchowym sceptycyzmem i praktycznym, politycznym rozsądkiem, nie zaś poszanowaniem tradycji i kultywowanych w jej ramach wartości, staje się właśnie wzorem obywatela i członka demokratycznej wspólnoty. Nie byłoby w tym może ostatecznie nic

gorszącego, gdyby nie fakt – również wyraźnie przez omawianego myśliciela dostrzeżony – że demokraci tacy oraz firmowany przez nich system służą w istocie nie narodowi czy poszerzaniu zakresu obywatelskich wolności bądź też społecznemu rozwojowi. Demokracja bowiem, jeśli w ogóle czemukolwiek, w ledwie maskowany sposób służy wielkiemu kapitałowi – nie jest też niemożliwe, iż przez niego właśnie, przynajmniej w swym wariacie nowożytnym, została obmyślana i wdrożona. Kwestię tę porusza Zdziechowski komentując tezy francuskiego ekonomisty i pisarza Francisa Delaisiego: „Socjalista francuski Fr. Delaisi poświęcił swoją głośną książkę *La Democratie et Les Financiers* wyjaśnieniu sobie i czytelnikowi, jak się to stać mogło, że wielki kapitał umiał przekształcić demokrację w znakomitą, giętką a zarazem potężną broń do swoich rabunkowych względem państwa zamiarów. *Powszechnie sądzą – czytamy tam – że finansisci są przeciwnikami demokracji; jest to błąd krzyczący. Przeciwnie, są oni jej kierownikami i najwierniejszymi opiekunami, powiem więcej – jej rzeczywistymi wynalazcami. Z niej utworzyli oni chiński mur, poza którym mogą oni spokojnie matactwa swoje ukrywać; w niej mają najlepsze narzędzie do obrony w razie jakichkolwiek przeciw nim skierowanych rozruchów* [11].

Demokracja nowożytna, wkraczająca na arenę dziejów wraz z urbanizacją, uprzemysłowieniem, laicyzacją i umasowieniem kultury, stanowiła ruch ekonomiczno-polityczny zmierzający do prawnego i systemowego zagwarantowania równego dostępu do wytwarzanych przemysłowo dóbr. Inaczej mówiąc wielki kapitał poparł – a może i wynalazł - ruchy demokratyczne, mając na celu pozyskanie nowych konsumentów, nowe – zrazu wewnętrzne, a później zewnętrzne – rynki zbytu. Nie jest przecież przypadkiem fakt, że aż po nasze dni za demokracją wkracza gospodarka wolnorynkowa, opanowana obecnie przez międzynarodowe wielkie koncerny, tak że symbolem narodzin

demokracji stał się maszt z logo McDonalda. Demokratyczna wolność szybko karleje do wolności zaledwie konsumenckiej, do swobody wybierania towaru pośród przytłaczającej i niepotrzebnej nadprodukcji wszystkiego – od słów począwszy na rodzajach pieczywa skończywszy. Dlatego też panowanie demokracji to – paradoksalnie – zmierzch polityki: wycofuje się ona z kolejnych obszarów życia społecznego w obliczu agresywnych działań międzynarodowej finansjery. Demokratycznie wybrani politycy, tyle warci co ich elektorat, nie są w stanie oprzeć się pokusie subtelniejszych rodzajów korupcji, opłacanej sownie podległości interesom ekonomicznym wielkich międzynarodowych i ponadnarodowych graczy. Ich matactwa w istocie rozplątują się w skrajnie zbiurokratyzowanej przestrzeni społeczno-ekonomicznej, w której sieci wzajemnych zależności są tak rozległe i splątane, iż niemożliwe właściwie do wytropienia – nie ma również dziś dość potężnych instytucji (skoro ulegają owym graczom całe państwa), które mogłyby ich nadzorować i egzekwować w stosunku do nich prawo. Dlatego „zawsze bogaci” i tak pozostaną bogaci, bez względu na to kogo, raz na cztery czy pięć lat wybierze lud.

„Czy znaczy to, że pod rządami demokracji, którą rządzi finansjera, wielkie ideały zeszyły z widowni? - zapytuje w tym kontekście Zdziechowski. I odpowiada sobie samemu oraz swym czytelnikom słowami Spenglera: *„one istnieją, lecz zwyciężają tylko w królestwie książek, które jest nie z tego świata. [...]Tylko tam, w głębiach duszy, pokój, za którym wzdychamy, staje się terażniejszością, święty Boży spokój pustelników, którzy odeszli od zgiełku świata; widowisko wzniosłe w bezcelowości swojej, bezcelowe i wzniosłe, jak pochód gwiazd na niebie... Można to podziwiać i można nad tym płakać – jak się komu podoba”*[12].

Autor niniejszego artykułu, ze swej strony, zdecydowanie wzdycha za świętym Bożym spokojem pustelników – przypuszczalnie bezcelowym, bez wątpienia wzniosłym – równie stanowczo też poszukuje go w (niektórych) książkach, nie spodziewa się natomiast w tzw. „realu” – nie jest bowiem ów spokój z tego świata i dlatego też zapewne nigdy na dłużej w nim nie zagości. Trudno przy tym nie zgodzić się z krytycznymi uwagami Zdziechowskiego pod adresem demokracji: liczne i groźne są jej choroby, a może nawet ona sama jest chorobą wieku starczego, która musi porazić każdą, dobiegającą swego kresu cywilizację (bo nie kulturę przecież) nim ta ostatecznie wyzionie ducha. Równie wyraźnie niebezpieczeństwa demokracji (i głęboką niechęć, z jaką przyjmuje ona jakakolwiek krytykę) dostrzegął, choć sam był przecież uciekinierem z kraju o ustroju totalitarnym, przywoływany już Sandor Marai: „w demokracji może nastąpić chwila, kiedy wolność zostaje ograniczona nie przez innego człowieka, lecz przez tłum – powiada on i dodaje – To nieprzypadkowe, że w demokracji uważa się pisarza za niewygodnego świadka naocznego – tam gdzie większość nie chce niczego innego poza możliwie najłatwiej osiągalnymi pozbawionym ograniczeń dobrobytem pisarz staje się niesympatycznym *bedfellow*. Demokrata entuzjazmuje się wszystkim, co jest informacją, ale z obrzydzeniem odwraca się od kultury, ponieważ kultura oznacza osobistą cenzurę i egzamin”[13].

Nie oszukamy naszego czasu, nie zawrócimy też jego biegu: z demokracją należy się więc zapewne pogodzić bo – i w tym bodaj największa jej siła – wszystkie inne dostępne opcje wydają się nam dzisiaj zdecydowanie gorsze niż ona sama. Nie mamy po prostu lepszego pomysłu na organizację życia zbiorowego wielkich, współczesnych społeczeństw, skoro uporczywie i bezwzględnie wdrażane w XX wieku polityczne utopie tak okrutnie nas zwiódły i

zawiodły. Wydaje się zatem, iż nie pozostaje nam nic innego niż porządku demokratycznego bronić, choć coraz wyraźniej widzimy, iż wiedzie on nas do ostatecznej katastrofy, bo pozwala wrogom cywilizacji europejskiej powoli, acz nieuchronnie – bo od środka - ją niszczyć. Póki jednak niepokój i wojna nie spadły na naszą krainę możemy też zostać eremitami, i w zaciszu swych pustelni – jednako odlegli od historycznych, pozbawionych pamięci kulturowej demokratów, jak i groźnych, zaślepionych fundamentalistów - oddać się rozkosznemu wspomnianiu tego, co w kulturze europejskiej było, i może jest gdzieś jeszcze, nam najbliższe i najcenniejsze. Rozkoszy tych wspomnień nikt i nic nam nie odbierze, nawet gdy Europy takiej, jaką znamy – może słabej, ale wciąż pięknej - już nie będzie.

*Bartosz Jastrzębski*

[1] Cz. Miłosz, *Legendy nowoczesności*, Kraków 1996, s. 100.

[2] G. Reale, *Historia filozofii starożytnej*, t. 2, przeł. E. I. Zieliński, Lublin 1996, s. 315-316.

[3] Platon, *Państwo*, 564 C-E, przeł. W. Witwicki, Warszawa 1958.

[4] S. Marai, *Dziennik*, przeł. T. Worowska, Warszawa 2013, s. 235.

[5] M. Zdziechowski, *Wybór pism*, Kraków 1993, s. 441.

[6] Ibidem, s. 440.

[7] Cyt. Za Ibidem, s. 442.

[8] Ibidem, s. 412.

[9] Ibidem, s. 413.

[10] O kosmopolityzmie i prymacie miast patrz także: O. Spengler, *Zmierzch Zachodu*, przeł. J. Marzęcki, Warszawa 2014, s. 44-45.

[11] M. Zdziechowski, op. cit., s. 443-444.

[12] Ibidem, 445.

[13] S. Marai, *Dziennik*, przeł. T. Worowska, Warszawa 2013, s. 469-470.